

Tomasz Kozłowski

Uniwersytet Łódzki

O nosicielach wirusów umysłu

Historia zna wiele przykładów wielkich tłumów ludzi, którzy ulegli jakiemuś złudzeniu i którzy utwierdzali się w nim nawzajem podążając drogą prowadzącą do zguby. Czy możesz być pewny, że nie jesteś członkiem takiej grupy? (...) Chciałbym wiedzieć, czy ktokolwiek, kto wierzy w bliski koniec świata, zdobędzie się na dostateczną uczciwość i odwagę intelektualną, by przeczytać tę książkę [Dennett 2008, 78].

Wybitny amerykański filozof William James stwierdził niegdyś, że zrozumienie konkretnego systemu filozoficznego opiera się na przyjęciu perspektywy, z jakiej jego twórca postrzegał świat. Odnalezienie tego miejsca - punktu usadowienia się wobec otaczającej nas wielości wrażeń - jest podstawowym krokiem, od którego należy rozpocząć rekonstrukcję danej koncepcji. Jest to pomysł tyleż trafny co kłopotliwy, gdyż generuje on masę o wiele głębszych problemów niż mogłaby na to wskazywać pozorna prostota tej myśli. Czym bowiem jest wspomniana perspektywa oglądu rzeczywistości? Co się na nią składa? Czy są to idee, pojęcia, ich wzajemne relacje? Czy może również suma doświadczeń danego myśliciela, zewnętrznych oraz wewnętrznych, uwarunkowanych tak biologicznie jak i społecznie?

Nie ulega wątpliwości, że sam pomysł wart jest zastanowienia, gdyż w ogólnych zarysach zdaje się być zgodny z naszą powszechną intuicją. Pragnąc zrozumieć daną osobę, wnikamy w jej prywatny świat – staramy się poznać jej potrzeby, przekonania, sposoby odnoszenia się do rzeczywistości. Rekonstruując racjonalizm kartezjański, podążamy drogą *aktu cogito*, pozwalamy się prowadzić

autorowi przez gąszcz pytań i wątpliwości, czyniąc z nich nasz własny bagaż doświadczeń. Dochodząc do idei nadrzędnych, dedukujemy z nich logiczne konsekwencje, zgodnie z intencją tegoż filozofa. Przedstawiony sposób działania, bywa równie skuteczny wobec każdego systemu przekonań, o ile ten ostatni nosi względnie racjonalny, logicznie koherentny charakter. Czy nie uprawnia to nas do stwierdzenia, że każda odrębna perspektywa widzenia nie jest niczym innym, jak tylko osobliwym językiem opisu świata (specyfiką stosowanej siatki pojęciowej)?

Jeśli jest, to warto wówczas zapytać – czy istnieje hierarchia takich języków? Jakie jest kryterium ich ważności? Czy jesteśmy w stanie zdecydować, który ze światopoglądów jest bardziej adekwatny wobec struktury świata rzeczywistego? Chciałoby się powiedzieć, że istnieje takie kryterium - a jest nim siła argumentów, przemawiające za nim racje. W większości prowadzonych dyskusji – szczególnie tych, które odbywają się na płaszczyźnie filozoficznej – usiłujemy przekonać rozmówcę do własnych myśli, przedstawiając mu w logicznym porządku racje, jakie za nimi przemawiają. Wyczerpujący się ich zasób, prowadzi zazwyczaj do kresu dyskusji i wskazania, która z przedstawionych koncepcji jest godna przyjęcia. Wydaje się więc, że wewnętrzna spójność naszego światopoglądu (języka opisu rzeczywistości), oraz weryfikowalność jego tez, winny przemawiać za jego ważnością i przekładać się na wysoką pozycję we wspomnianej hierarchii. Stąd też język nauki (uprawomocniony empirycznymi dowodami), plasowałby się wyżej niż mniemania oparte na urojeniach, wierzenia odnoszące się do mitów, przesądów i religii. Ale czy jest tak rzeczywiście?

Steven Pinker - w opublikowanej na polskim rynku wydawniczym książce *Tabula rasa. Spory o naturę ludzka* – podaje za Ośrodkiem Badań Opinii Publicznej Uniwersytetu Connecticut, wyniki ankiet przeprowadzonych w 2001 roku, które zdają się zaprzeczać postawionej przeze mnie hipotezie:

Według najnowszych badań 76% Amerykanów wierzy w biblijną opowieść o stworzeniu świata, 79% żywi przekonanie, że biblijne cuda rzeczywiście się wydarzyły, 76% wierzy w anioły, diabła oraz inne istoty niematerialne, 67% uważa, że w jakiej postaci będzie istnieć po śmierci, a zaledwie 15% sądzi, że Darwinowska

teoria ewolucji najtrafniej wyjaśnia pojawienie się człowieka na Ziemi [Pinker 2005, 19].

Ktoś może mi w tym miejscu zarzucić, że odświeżam stary konflikt między nauką a religią, który dla wielu staje się czymś istotnie niesmacznym, oraz że jest to forma nietaktu z mojej strony czy braku rozeznania w faktach, które zdają się wskazywać na to, iż „topór wojenny” został dawno zakopany. Moją główną intencją jest jednak zapoznanie czytelnika z wydaną na polskim rynku w 2008 roku, książką Daniela Dennetta, *Odczarowanie. Religia jako zjawisko naturalne* – oraz podzielenie się niektórymi refleksjami, skłonienie do wspólnego poszukiwania rozwiązań dla postawionych w tej pozycji problemów.

Już sam tytuł niniejszego dzieła domaga się bliższej definicji pojęć użytych przez autora. Wypada zapytać, czym jest owo *odczarowanie*? Co mamy rozumieć przez sformułowanie *zjawisko naturalne*? Odpowiedzi pojawią się już wkrótce, w toku prowadzonych przeze mnie rozważań - gdyż w tym miejscu pragnę jeszcze na chwilę powrócić do problemu ważności światopoglądów. W książce Daniela Dennetta można doszukać się przekonania – kluczowego dla rozwiązania tegoż zagadnienia - iż o doniosłości danego języka opisu świata nie stanowi siła argumentacji czy weryfikowalność tez, lecz mechanizmy jego replikacji. Ponadto, nauka rości sobie prawo do szukania odpowiedzi na pytanie *jak* przebiegają zjawiska w świecie (na poziomie materii ożywionej i nieożywionej), gdy tymczasem religia stara się wskazać *dlaczego* ma to miejsce. Każdego dnia, doświadczenie poucza nas o tym, że nawet w sytuacji, gdy szukanie przyczyny celowej jest wyraźnym absurdem - ma to miejsce, i co ważniejsze - znajduje zrozumienie w oczach innych. Gdy dochodzi do naturalnego kataklizmu (trzęsienia ziemi, powodzi, tornada), ludzie zadają sobie pytanie nie o ich przyczynę (gdyż ta, za sprawą nauki, jest często doskonale znana), lecz o cel - powód, dla którego spotkało ich nieszczęście¹.

¹ Gdy dopracowywałem niniejszy tekst doszło do niezwykle tragicznej katastrofy w Smoleńsku, w której poniósł śmierć Prezydent Polski Lech Kaczyński, Pierwsza Dama RP a także ogromna liczba urzędników państwowych, ludzi działających społecznie czy osób niezwykle ważnych dla historii Polski. Wydarzenie to stało się brutalnym potwierdzeniem przedstawionej przeze mnie tezy. Włoska gazeta "La Repubblica"

Istnieje jeszcze inny powód dla którego język nauki jest nieatrakcyjny. Wiele osób ma przekonanie, że dominująca darwinowska teoria doboru naturalnego jest wyłącznie walką jednostek o przetrwanie i własną pomyślność. Charakteryzuje ją założenie, iż przetrwają najlepsi, najinteligentniejsi, najsilniejsi czy najsprytniejsi – oczywiście kosztem słabszych. Tak rozumiany darwinizm zdaje się być ślepy na cierpienia tych, którzy nie dają sobie rady w tym „wyścigu szczurów” - a nawet może być pojmowany jako nawoływanie do nietolerancji, egoizmu, bezwzględnego dążenia do realizacji partykularnego interesu. Choć przedstawiona charakterystyka jest oczywiście zbyt daleko idącym i wulgarnym uproszczeniem założeń koncepcji Darwina (sami ewolucjoniści przeszli daleką drogę od badań doboru na poziomie jednostek i grup, by wskazać mankamenty takiego podejścia), ma się równie dobrze i jest wysoce chwytliwa, jak powiedzenie jednego z moich szacownych kolegów, że „woli pochodzić od Boga, niż od małpy”.

Już szkocki filozof David Hume zauważył, że sprawa nie przedstawia się tak prosto, jak zdaje się to być życzeniem tych, którzy żywią wyżej opisane przekonania:

Powiedz jednak, proszę, czemu służą osobliwe te urządzenia i mechanizmy, których okazem jest każde zwierze? Tylko i jedynie zachowaniu osobników i rozmnażaniu się gatunku. Wystarczy przyrodzie widać, jeśli taki a taki gatunek po prostu utrzyma się we wszechświecie, a czy składające go jednostki będą szczęśliwe – o to ani dba, ani się troszczy [Hume 1962, 95].

Obecnie jesteśmy dużo bogatsi w intelektualne narzędzia opisu rozwoju organicznego, a ogromny wkład w zrozumienie biologicznych podstaw takich zachowań człowieka jak np. przejawy dobroci i altruizmu (których wyczerpująca analizę znajdziemy m.in. u Matta Ridley’a w książce *O pochodzeniu cnoty*), włożył Richard Dawkins za sprawą koncepcji „samolubnego genu”.

zasugerowała swoim czytelnikom, że „coś naprawdę ponadnaturalnego zdaje się wyznaczać przeznaczenie narodu polskiego”. Inni dziennikarze przywołali rolę Polski jako „Chrystusa narodów”. Pojawia się masa sprzecznych wypowiedzi – od wątpliwości „jak Bóg mógł na to pozwolić”, po odważne stwierdzenia, że „cierpienia Polski są dowodem na istnienie Boga”.

Wracając do obiecanej definicji pojęć składających się na tytuł książki Daniela Dennetta należy zauważyć, że autor przenosi metodę Dawkinsa z poziomu ewolucji biologicznej na płaszczyznę ewolucji kulturowej. Podobnie jak wyposażenie terminu *gen* w cechę *samolubności* otworzyło przed ewolucjonistami nowe drogi interpretacji zjawisk w świecie, tak koncepcja *memu* (jednostki informacji w transmisji kulturowej - opartej głównie na języku) pozwala spojrzeć z innej perspektywy na relację *człowiek – kultura*. Bazując w dużym stopniu na pracy *Wirus umysłu* Richarda Brodie (zwolennika nowej dziedziny badań zwanej *memetyką*), Dennett, stara się przeanalizować zjawisko religii, zarówno w kontekście jego znaczenia jako instrumentu adaptacji biologicznej człowieka, jak i rozwoju idei religijnych wobec konkurencyjnych światopoglądów – sądząc, że *memy* mogą mieć (analogicznie do bakterii, wirusów i innych organizmów) pozytywne, neutralne bądź negatywne konsekwencje dla swojego nosiciela. W pierwszej chwili można odnieść wrażenie, że autor stwierdza rzecz banalną, powszechnie wiadomą – mamy bowiem wyraźną świadomość tego, że spora część przedmiotów używanych przez człowieka może mieć tak pozytywne, jak i negatywne przeznaczenie (zależnie od sytuacji, kontekstu ich zastosowania, czy przede wszystkim – intencji ich użytkownika). Nóż może pokroić chleb, lecz również zabić. Lek podany w odpowiedniej ilości może przywrócić nas do zdrowia, choć jego przedawkowanie może mieć skutek odwrotny. Zagadkowe staje się również to, czemu autor wyróżnia w swoich badaniach akurat *memy* religii? – znamy przecież dość tragiczne sytuacje, w których to prawdy nauki wykazywały zachowania podobne do tych, jakie można – na zasadzie analogii – stosować do opisu wirusa, który zaatakował organizm o niskim poziomie odporności:

Dla jednego z czytelników Hamiltona wstrząs, jaki wywołała idea samolubnego genu, okazał się tragiczny. George Price nauczył się genetyki z zamiarem obalenia wniosku Hamiltona, że altruizm to po prostu genetyczny egoizm, ale zamiast tego dowiódł, że idea ta jest bezspornie poprawna – w istocie poprawił nawet wyliczenia i wniósł kilka ważnych przyczynków do samej teorii. Hamilton i Price zaczęli współpracować, ale Price, który wykazywał narastające objawy niestabilności psychicznej, zwrócił się ku religii po pociechę, oddał biednym wszystko, co posiadał, i popełnił samobójstwo w pustym i zimnym, przeznaczonym do rozbiórki domu w Londynie [Ridley 2000, 30].

Należy jednak nadmienić (częściowo wyjaśniając wskazane wątpliwości), że Daniel Dennett nie traktuje jednostki informacji jako tej, która staje się narzędziem działania człowieka. *Mem* jest bytem częściowo niezależnym, który posiada swój odrębny (daleki od intencji nosiciela) *samolubny* interes. Nie należy jednak przypisywać *memom* istnienia obdarzonego świadomością – są one raczej czymś w rodzaju wirusów komputerowych, których jedynym „celem” jest tworzenie własnych kopii (a więc wspomniana już *replikacja*). Rozwój technologiczny pozwala naukowcowi spojrzeć na człowieka jak na komputer – nośnik takich informacji, które mogą równie dobrze służyć jego działaniu (np. system operacyjny, oprogramowanie), jak też uniemożliwić jego właściwą pracę (wirusy). Wspomniana analogia, która tak często budziła ogromny sprzeciw (jednym z przeciwników takiego sposobu rozumienia funkcjonalności człowieka był John Searle), znajduje w dociekaniach Daniela Dennetta nowe, interesujące zastosowanie. Zwolennicy *memetyki* używają często w celu zobrazowania działania replikującego się wirusa przykładu tzw. „łańcuszka szczęścia”, który raz wypuszczony w świat użytkowników Internetu, zdaje się egzystować swoim własnym życiem, „nawołując” do powielania jego treści i przekazywania jej dalej. W tym miejscu nasuwa się istotna wątpliwość – czy religię z jej instytucjami (które trwają od wieków), można traktować w podobny sposób? Jeśli tak, to czemu i nauki nie postawić przed „trybunałem rozumu” – gdzie tkwi źródło rozróżnienia tych dwóch, skrajnych sposobów opisu świata?

Liczba pytań wciąż rośnie – co doskonale oddaje kontrowersyjny charakter tez, wysuniętych na stronach książki Dennetta. Autor zabiera czytelnika w interesującą podróż - od spekulacji nad ewentualnymi korzeniami religii, po charakterystykę jej obecnego tj. instytucjonalnego kształtu. Istotną cechą języka religii – w odróżnieniu od nauki – jest sposób jego ewolucji, a konkretniej fakt stosowania tzw. „dobrych trików” (chwytów intelektualnych pozwalających uodpornić *mem* religii na sceptycyzm, czy też podnoszących jego atrakcyjność w oczach nowych „nosicieli”). O ile niczym specjalnie nowym - dla czytelników obytych w poruszanej tematyce - nie będzie wskazanie języka jako podstawowego czynnika rozwoju religii, to już znaczenie postawy intencjonalnej (bardzo dokładnie omówionej w jednej z wcześniejszych prac Dennetta pt. *Natura*

umysłów), staje się czymś nowatorskim i zmuszającym do refleksji. Przejście od intencjonalności, przez selektywność umysłu w odbiorze informacji, do zjawiska animizmu i opierającej się na nim potrzeby *informacji strategicznej* dla budowania relacji społecznych – stanowi punkt wyjścia dla nakreślenia podłoża rozwoju myśli religijnej. Te pozornie czyste spekulacje, odważne hipotezy, znajdują w pracy amerykańskiego filozofa należyłą, analityczną wykładnię.

Aby zrozumieć ewolucję kulturową *memów* religii (od poziomu wierzeń ludowych po znaczenie instytucjonalne) należy je potraktować jak dziko egzystujące bakterie, które w pewnym momencie rozwoju otrzymują swoich zarządców. Nawrócenie religijne - w porządku terminologicznym, zaproponowanym przez Dennetta - jest formą uległości wobec *memów*, a inżynieria *memetyczna* (teologia i rozwój doktryn religijnych) jest ściśle nakierowana na konstruowaniu światopoglądów, które zyskają większe szanse przetrwania na bogatym „rynku idei”. Pomyślność danej koncepcji religijnej jest bezpośrednio skorelowana z doskonałością odpowiadających za nią *memów* - podobnie jak sukces handlowy opiera się na skuteczności reklamy produktu. Nie należy jednak wyprowadzać z tego wniosku, iż wspomniani zarządcy idei religijnych mają całkowitą kontrolę nad procesem ich replikacji:

Inżynieria memetyczna, podobnie jak inżynieria genetyczna, może – jeśli nie jesteśmy dostatecznie przenikliwi – produkować potwory, które opuściwszy laboratorium, będą się rozpowszechniać wbrew naszym największym wysiłkom. Zawsze trzeba pamiętać od Drugiej Regule Orgela: Ewolucja jest inteligentniejsza od ciebie [Dennett 2008, 227].

Wiele z osób czytających powyższe opinie sprzeciwi się wyraźnie traktowaniu religii w kategorii przedmiotu transakcji handlowej. Za równie niestosowne uznają one zapewne klasyfikowanie zbawienia (życia wiecznego) oraz przejście od antropomorficznego do abstrakcyjnego pojęcia Boga jako „dobrych trików”, używanych przez *memy* religii, aby odsunąć w czasie moment realizacji transakcji (wymiany dobrych uczynków na nagrodę), a także w celu obrony terminu *Bóg* przed sceptycyzmem. Dennetta zadziwia szczególnie ten ostatni aspekt – opierający się na

transformacji pojęcia Boga, które pomimo silnych modyfikacji nie popycha nas w objęcia ateizmu (nie prowadzi obecnych przywódców religijnych czy ludzi wierzących do uznania wszystkich - traktujących Boga w sposób niezgodny z obecnymi dogmatami - za niewiernych).

Źródłem pomyślności wymienionych chwytów inżynierii *memetycznej*, jest uznanie Istoty Najwyższej jako przedmiotu intencjonalnego (dającego się pomyśleć). Idąc za rozumowaniem, które zainicjował Gottlob Frege – gdy na przykładzie „gwiazdy porannej” i „gwiazdy wieczornej” wskazał on możliwość istnienia dwóch przedmiotów intencjonalnych do oznaczenia jednego, rzeczywiście istniejącego (tj. planety Wenus) - autor książki, odpowiednio zmodyfikowawszy opisaną relację wykorzystuje ją do analizy pojęcia Boga. Jest ono bowiem jednym przedmiotem intencjonalnym, stosowanym do oznaczania wielu zjawisk występujących w świecie (np. losu, przypadku, szczęśliwego trafu etc.) – co może prowadzić do oczywistych paradoksów:

Błazenada słowna może przekształcić ateistę w teistę: jeśli „Bóg” miałby być nazwą czegokolwiek, co wytworzyło stworzenia duże i małe, to proces ewolucji przez dobór naturalny mógłby okazać się Bogiem [Dennett 2008, 256].

Łącząc ten wniosek z podjętymi wcześniej zarzutami wobec transformacji pojęcia *Boga* powstaje poważna wątpliwość, czy możemy w takiej sytuacji sensownie mówić o wierze w Istotę Najwyższą (gdy przedmiot, do którego stosuje się owo pojęcie pozbawiony jest cech antropomorficznych, staje się abstrakcyjny, niemożliwy do pozytywnej charakterystyki)? Dennett zdaje sobie sprawę, że część osób wierzących odpowie twierdząco na zadane pytanie, ale dla autora książki nie oznacza to przewyciężenia wskazanej trudności. Daje to mu podstawę do wydzielenia dwóch kategorii – „wiary w Boga” i „wiary w wiarę”:

Ludzie, którzy wierzą w Boga, są pewni, że Bóg istnieje, i cieszą się z tego, ponieważ uważają Boga za najwspanialszą rzecz na świecie. Ludzie, którzy oprócz tego wierzą w wiarę w Boga, są pewni, że istnieje wiara w Boga (w co zresztą nikt nie wątpi), i że ten stan rzeczy jest dobry, że należy go podtrzymywać i umacniać wszędzie gdzie to możliwe [Dennett 2008, 262].

Choć Dennett nie wypowiada tego wprost, można odnieść wrażenie, że w tym miejscu docieramy do sedna terminu „odczarowanie”. Ta nowa kategoria ludzi, którzy nawykowo uczestniczą w uroczystościach religijnych - choć powierzchownie odnoszą się do wiary są pewni, że ma ona pozytywne znaczenie dla moralnych działań człowieka – jest właśnie tą, która uległa owej magii języka religii. Choć tacy ludzie przeczuwają, że żyją w iluzji i aktywnie podtrzymują złudzenia, to wyrażają oni przekonanie, iż utrzymywanie tego stanu ma dobre skutki. Uzmysłowienie im, że jest zupełnie inaczej, jest początkiem misji, polegającej na pozbawieniu kościoła ogromnej władzy, jaką obecnie posiada, albowiem „siła instytucji religijnej wcale nie zależy od jednolitości wiary; zależy ona od jednolitości deklaracji [Dennett 2008, 265].

Czy możemy zatem przyjąć, że zarządcy *memów* religii stoją wobec ogromnego problemu dalszej ewolucji idei wiary? Czy obecne czasy – gdy przywiązanie do tradycji, sztuczna obrzędowość i presja otoczenia (równie powierzchownie traktującego wiarę) wygrywa z głębią problemów religijnych – są zapowiedzią nadejścia epoki sekularyzacji? Autor książki nie wykazuje tak daleko idącego „optymizmu”. Choć ilustruje on słabość dowodów na istnienie Boga (ontologicznego, kosmologicznego oraz argumentu z projektu), to jednocześnie zauważa, że ostatnim i bodaj najsilniejszym „bastionem” religii są ludzkie uczucia (stąd nie przypadkowo ostatnią część jego książki, otwiera podrozdział „Miłość do Boga”).

Język religii, twierdzi Dennett, jest niezwykle podobny do tego, którym opisuje się miłość romantyczną – a postawa wiernego, w uderzający sposób przypomina zachowanie osoby zakochanej. Czy odwołanie się do najgłębszego ludzkiego uczucia jest kolejnym „dobrym trikiem” *memów* religii? To właśnie sugeruje autor:

Z pewnością byłby to Dobry Trik. Sprawiałby, że ludzie sądzą, iż jest sprawą honoru, by czuć się obrażonym i w odwecie atakować wszystkich sceptyków, nie bacząc na własne bezpieczeństwo – nie wspominając o bezpieczeństwie atakowanych. Uważają, że obiekt ich miłości w pełni na to zasługuje, że są zobowiązani do tępienia bluźnierców [Dennett 2008, 297].

Pytania które teraz zadam, są bardzo niepokojące. Czy nie byłoby to doskonałe narzędzie w rękach fundamentalistów, którzy wysyłają na śmierć oddanych sobie fanatyków? Czy pewniki moralne, które znajdują miejsce w doktrynach religijnych nie pełnią roli znakomitej „księgi przykazań”, mogącej zwalniać „wojowników o wiarę” z samodzielnego myślenia? Odpowiedź twierdząca aż sama ciśnie się na usta – lecz co to oznacza? Czy laboratoria inżynierii *memetycznej* opuszczają wirusy, nad którymi sami zarządcy tracą kontrolę? Czy kiedykolwiek panowali oni nad ideami, którym służyli?

Moim zdaniem, metoda zastosowana przez Dennetta do badania zjawisk religijnych może doskonale posłużyć do analizy wszelkich ideologii, doktryn politycznych, a także pojawiających się patologii w postrzeganiu rzeczywistości. Wzięcie na warsztat zasad wiary ma jednak specyficzny sens, gdyż zajmuje ona w życiu człowieka zbyt ważną rolę, abyśmy mieli pozwalać ludziom niekompetentnym na kierowanie ideami, które trafiają do umysłów wyznawców. Pytanie „czy powinniśmy oskarżać przywódców religijnych, iż są oni odpowiedzialni za działalność fundamentalistów?” nie jest bynajmniej analogiczne do pytania: „Czy można postawić przed sądem producenta noża, którym popełniono zbrodnie?”. Koncepcje przedstawione w książce Daniela Dennetta doskonale korespondują z refleksjami takich autorów jak Richard Brodie (*Wirus umysłu*) czy Anthony Pratkanis i Elliot Aronson (*Wiek propagandy*) – którzy starają się udowodnić, że problem ten bliższy jest raczej wątpliwościom: czy pozwolić małemu dziecku na oglądanie brutalnego filmu? Czy etyczne są praktyki twórców reklamy, którzy poruszają „wrażliwe punkty” psychiki człowieka, epatując erotyzmem, klimatem zagrożenia, stosując mechanizmy perswazji? Czy podobnie jak robimy to w trosce o nasze zdrowie fizyczne (np. umieszczając na etykietach produktów spożywczych informacje o ich składzie), nie powinniśmy zastosować silniejszych „filtrów” kontroli treści i ideologii, w trosce o naszą kondycję psychiczną? Co możemy uczynić, by nie stać się narzędziami „wirusów umysłu” i nie realizować fanatycznie ich ślepego celu – replikacji, kosztem własnego zdrowia i życia?

Autor książki *Odczarowanie. Religia jako zjawisko naturalne* wskazuje na istniejącą już „szczepionkę” wobec niniejszego zagrożenia – a jest nią edukacja. W tym miejscu wraca jednak pytanie: czy możemy wskazać język, który będzie zajmował

pozycję uprzywilejowaną wobec innych światopoglądów? Gdy ktoś pragnie mnie przekonać do własnej perspektywy oglądu świata, staram się dotrzeć do kryterium, jakie decyduje o całej jej strukturze – do kluczowych pojęć, hierarchii potrzeb, specyfiki relacji między zastosowanymi ideami. Jak jednak przekonać się, czy dany światopogląd chroni nas przed niebezpieczeństwem indoktrynacji, manipulacji, fanatyzmu, intelektualnej ślepoty? Dennett naprowadza czytelnika na rozwiązanie tego problemu – przez wskazanie w języku funkcji samozwrotności (możliwości krytycznego odnoszenia się do samego siebie) oraz odrzucenia pojęcia prawdy absolutnej (utrzymywanej niezależnie od kosztów), na rzecz hipotez (półprawd), które nie tyle będą stanowić bazę dla destrukcyjnego relatywizmu, co raczej - niczym w koncepcji Karla Poppera – będą „zdobywanym szczytem” (o osiągnięciu którego nigdy nie będziemy całkowicie przekonani).

Odnoszę silne wrażenie, że dzieło *Odczarowanie. Religia jako zjawisko naturalne* nie jest książką antyreligijną (a przynajmniej – nie tylko taką), gdzie głównym przesłaniem byłoby odrzucenie prawd objawionych na rzecz tych, które pochodzą z rozumu. Jest to raczej forma dialogu z wierzącymi, którego naczelne motto, można by wyrazić w słowach:

Żaden Bóg, którego zadowalałyby przejawy ślepej, nierozumnej miłości, nie zasługiwałby na to, by go czcić [Dennett 2008, 344].

Dzięki temu Daniel Dennett pełni rolę współczesnego Sokratesa, który - podobnie jak czynił to bohater dialogów platońskich - wychodzi do swoich współobywateli, podkopuje ich przekonania, odsłania mechanizmy odpowiedzialne za przyjmowanie złudzeń za prawdę (w rzeczywistości okazujących się być szkodliwym dogmatem). Autor czyni to z wielkim przekonaniem i rzetelnością (przykładem mogą być załączone na końcu książki „dodatki” mające na celu zaznajomienie mniej zaawansowanego filozoficznie czytelnika z poruszaną problematyką) ryzykując przy tym powtórzenie losu wspomnianego Ateńczyka (co wcale nie musi być przesadnym stwierdzeniem jeśli weźmiemy pod uwagę reakcję fundamentalistów religijnych, z którą spotkał się Salman Rushdie po publikacji *Szatańskich wersetów*).

Czy dzieło, które jest przedmiotem niniejszych rozważań, należy traktować jako hołd oddany Karolowi Darwinowi (jak często zwykł mawiać o swoich książkach Richard Dawkins)? A może jest to kontynuacja diagnozowania choroby naszych czasów, zainicjowanego przez Richarda Brodie? Choć powyższe elementy znajdują swoje potwierdzenie w pracy Daniela Dennetta – to mimo wszystko istnieje coś, co wyraźnie odróżnia go od wyżej wymienionych autorów (i mówiąc żartobliwie - nie jest to wyłącznie jego imię). Amerykański filozof wskazuje filozofię umysłu, nauki oraz biologię ewolucyjną jako przedmioty swoich zainteresowań. Język jego wypowiedzi jest dużo bardziej bogaty od bazującego na przykładach z przyrodoznawstwa dyskursu Dawkinsa. Jest on również subtelniejszy i cechujący się większą dociekliwością niż ten, zastosowany w książce *Wirus umysłu* przez Richarda Brodie. Filozoficzne przygotowanie Dennetta – a co za tym idzie - łatwość z jaką potrafi się on przenosić między wspomnianymi dziedzinami nauki jest godna pozazdroszczenia i budząca ogromny szacunek.

Zasygnalizowany na początku niniejszej pracy postulat Williama Jamesa zdaje się trudny do zastosowania, wobec autora *Odczarowania*, gdyż wielość perspektyw, którą potrafi przyjąć Dennett dla wyjaśnienia obserwowanych zjawisk, jest dalece wykraczająca poza specyfikę umysłów, których losy śledzimy podczas kształcenia się z zakresu historii filozofii. Dużo ważniejsze jest jednak to, że James - traktując myśl jako instrument adaptacji - skłania nas do zaufania przyjętemu światopoglądowi, po części dzieląc przekonanie obecne w socjobiologii Edwarda O. Wilsona, iż:

(...) zmiana kulturowa zawsze szybko prześciga ewolucję biologiczną. Jednakże nie może dojść do zbyt wielkiej rozbieżności, ponieważ środowisko społeczne stworzone przez ewolucję kulturową zostaje w końcu poddane wpływom biologicznego doboru naturalnego (...) istnieje granica – być może praktyki współczesnych społeczeństw zbliżają się do niej bardziej niż potrafimy to pojąć – poza którą ewolucja biologiczna znacznie hamować ewolucję kulturową, ciągnąc ją wstecz, ku sobie [Wilson 1988, 114].

O ile teza o istnieniu tzw. „smyczy” na której geny trzymają kulturę nie jest dla Dennetta specjalnie kontrowersyjna, to już postulat, by wyprowadzać z niej praktyczne

przesłanki dla naszych działań moralnych budzi w nim ogromne wątpliwości. Nie chodzi tu bowiem o zanegowanie związku między naturą a kulturą, lecz o zastanowienie się czy kierunek ewolucji tej ostatniej (oparty na metodach inżynierii memetycznej) nie zaprowadzi na do miejsca, gdzie wyłamanie się spod opresyjności środowiska będzie się wiązało z dużo większymi kosztami niż pozostawanie w niewoli. Ostatecznie powstaje więc wątpliwość: leczyć skutki, czy zapobiegać przyczynom?

Jeśli ktoś dołącza się do mojej opinii, że filozofia jest sztuką stawiania pytań tam, gdzie inni sądzą, że wszystko zostało wyjaśnione – odnajdzie on w komentowanym dziele doskonały przykład potwierdzający przytoczoną regułę. Apel o intelektualną odwagę (od którego zacytowania rozpocząłem niniejszą rozprawę) nie jest przejawem filozoficznej egzaltacji, lecz stanowi zachętę do ciężkiej pracy nad tekstem, szczególnej zachowawczości i uruchomienia silnego zmysłu krytycznego. Sokratejskie *wiem, że nic nie wiem* otrzymuje w tym miejscu nowe, oryginalne znaczenie jako próba uwolnienia się od błędnych przekonań, które nie tyle są naszym bezbronny i poddającym się kształtowaniu uposażeniem intelektualnym, ile wirusami, które gotowe są podjąć walkę wobec każdej próby ich wyeliminowania – potyczkę, w której za sprawą stosowanych mechanizmów obronnych (zwanym „dobrymi trikami”) stoją na uprzywilejowanej pozycji już na samym jej początku.

BIBLIOGRAFIA

Dennett, D., 2008, *Odczarowanie. Religia jako zjawisko naturalne*, Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy .

Hume, D., 1962, D. Hume, *Dialogi o religii naturalnej*, Warszawa: PWN.

Pinker, S., 2005, *Tabula rasa. Spory o naturę ludzką*, Gdańsk: Gdańskie Wydawnictwo Psychologiczne.

Ridley, M., 2000, *O pochodzeniu cnoty*, Poznań: Dom Wydawniczy Rebis.

Wilson, E. O., 1988, *O naturze ludzkiej*, Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy.